

# LAWINS



Jolanta Maria Kaleta



Jolanta Maria Kaleta

Lawina

Jolanta Maria Kaleta  
„Lawina”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2013  
Copyright © by Jolanta Maria Kaleta, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji  
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana  
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok  
Projekt okładki: Anna Pereświet-Sołtan (pracownia@klimaciarnia.pl)

ISBN: 978-83-7900-029-6

Wydawnictwo Psychoskok  
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

Jolanta Maria Kaleta

# Lawina



PSYCHOSKOK  
Konin, 2013



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*„Być wolnym...to nic, ale odzyskać wolność – to niebo”.*

*Johann Gottlieb Fichte*

Zardzewiałe zawiasy więziennej bramy zaskrzeczały złowrogo, niczym sroki klójące się o srebrną łyżeczkę, gdy strażnik odryglował zamek i nieco ją uchylił. Akurat na tyle, aby szczupły i wysoki Jędrek Madej mógł wyjść na drugą stronę. Tę lepszą. Na tę stronę, gdzie żyła wolność, pozorna, lecz przynajmniej poza murami więzienia.

– Niech pan nie mówi do widzenia... – burknął „klawisz”, poprawiając czapkę z daszkiem na głowie. – Lepiej, żeby pan tutaj już nie wracał.

– Nie wrócę... Prędzej umrę... – odparł Madej i z namaszczeniem postawił pierwszy krok na chodniku. Pierwszy krok na wolności. Nie odwrócił się, gdy brama zazgrzytała raz jeszcze, a ryglowany przez strażnika zamek zagrzecotał jak stary łańcuch na kołowrotku przy studni.

Podniósł wzrok ku niebu. Po raz pierwszy, od trzech lat mógł je ujrzeć w całej jego okazałości i krasie, niepoprzecina-

ne kratownicą okna czy siatką spacerniaka. Niczym nie ograniczone, rozległe, aż po sam horyzont. Było ciemnobłękitne, głębokie, bez jednej chmurki, rozświetlone delikatnymi promieniami słońca pierwszych wrześnieowych dni. Zamknął oczy i z rozkoszą wciągnął powietrze głęboko do płuc – smakowało wolnością, pozbawione smrodu więziennej kuchni, woni strachu, bólu i śmierci. Pachniało skoszoną trawą, spalinami czerwonego autobusu, który właśnie przejechał ulicą Kleczkowską, ulicznym kurzem wzbitym w powietrze przez lekki wietrzyk, cebulką przysmażaną gdzieś w mieszkaniu na pierwszym piętrze, słodkimi perfumami dziewczyny, która dopiero co przeszła obok. Speszona, a może przestraszona, że ni stąd ni zowąd znalazła się tak blisko więźnia, być może groźnego bandyty, szybciotkim truchtem przebiegła na drugą stronę ulicy, stukając obcasami czółenek. Majej podążył za nią wzrokiem. „Zmieniła się moda...” – pomyślał z czułym uśmiechem na ustach. – „Dziewczyny noszą teraz szerokie spodniczki...”

Oglądając się niepewnie za siebie, właścicielka modnego stroju zniknęła w najbliższej bramie. Kamienica nie zmieniła się od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Pamiętał, aż nazbyt dobrze, kiedy to było – 15 października 1945 roku, w dniu, gdy zakutego w kajdanki, z posiniaczoną twarzą, z rozciętą, krwawiącą wargą przywieziono go do tego więzienia. Budynki wokoło wyglądały tak samo jak dziś. Może ich otoczenie nie było tak uporządkowane jak teraz. Wówczas wszędzie walały się gruzy, choć może nie w takich ilościach jak w innych częściach Wrocławia. I te kilka drzewek przy chodniku wyrosło przez ten czas. Teraz dawały ożywczy cień, a w ich koronach głośno świergotały wróble. Odniósł wrażenie, że siedząca na ławeczce, na skwerku, staruszka to ta sama, co trzy lata temu. Ale może to tylko wyobraźnia. W budynku pobliskiej szkoły donośnie zabrzączał dzwonek i po chwili

rozwrzeszczana dzieciarnia w jednakowych granatowych fartuszkach, z białymi kołnierzykami i niebieskimi tarczami, przyszytymi do rękawów, przebiegła tuż obok niego. Te najmłodsze z pasją rzuciły się zbierać pierwsze tego roku, spadające z drzew kasztany, których lśniące, jakby zrobione z brązowej skóry, kuleczki wały się po trawniku. Normalne życie, jak zawsze.

Chwilę jeszcze przypatrywał się okolicy, po czym wolnym krokiem ruszył w kierunku ulicy Osobowickiej. Odebrane z więziennego depozytu rzeczy niósł w walizce, jesienny płaszcz przewiesił przez ramię. Już kilka kroków od bramy, która właśnie się za nim zatrzasnęła, nikt nie rozpoznałby w nim pensjonariusza zakładu karnego. Tak myślał. Nie zdawał sobie sprawy, że tamtejszy odór nadal mu towarzyszył. Tak do niego przywykł, że nawet go nie odczuwał. Ziemista cera i włosy ostrzyżone prawie do gołej skóry krzyczały z daleka, że więzienne mury opuścił całkiem niedawno. On jednak pragnął sprawić wrażenie zwykłego podróżnego, który dopiero co przyjechał do Wrocławia i zmierza w kierunku cmentarza na czyjś grób.

Przed główną bramą długo przyglądał się kwiatom wystawionym na kilku straganach. Wśród nich handlarki sprzedawały już pierwsze chryzantemy. Kupił bukiet tych złocistych, o dużych pąkach. Pamiętał, że Marta właśnie te lubiła najbardziej. Jej wspomnienie boleśnie chwyciło go za gardło. Zacisnął szczęki, aż zgrzytnęły zęby. Gdy dotarł do kaplicy cmentarnej, usiadł na jednej z ławeczek stojących w pobliżu. Krótkie spacery po więziennym podwórku nie mogły zapewnić dostatecznej ilości ruchu i z przerażeniem stwierdził, że przez te lata stracił całą dawną kondycję. Zasapał się i zmęczył tym godzinnym marszem, jak staruszek.

Z kieszeni spodni wyciągnął zmiętą paczkę Sportów i zapalił papierosa. Wypuszczał przed siebie kłęby szarego dymu



i bezmyślnie przypatrywał się otoczeniu. Ławeczkę minęły dwie siwowłose panie, obydwie trochę zgarbione, każda z laseczką. Obrzuciły go zatroskanym spojrzeniem. Trzymały się pod pachę i zawzięcie o czymś dyskutowały, co chwilę przerywały sobie głośnym: „Ależ, proszę ciebie, co ty mówisz?!”

Niedopałek wrzucił do stojącego tuż obok kubelka na śmieci i ruszył dalej. Po kilkunastu minutach dotarł do pola 122. „To gdzieś tutaj zostali pochowani Marta i Antoś... Kwaterna 25.” – pomyślał. Tak poinformowała go, dość chłodno, młoda kobieta siedząca za biurkiem w kancelarii cmentarza.

Po drugiej stronie alejki rozciągało się puste pole. Numer 81A. Jedne obok drugich, niewielkie kopczyki, ale przecież nie groby. Świeżo rozkopana ziemia, ślady kół samochodowych. Chwasty i zarośla pomiędzy tym wszystkim. Nigdzie jednak żadnego krzyża, żadnego nagrobka. Ani kwiatów, ani zniczy. Jakiś robotnik z łopata, szukając widać czegoś wśród brunatnych bruzd ziemi, zbliżył się do alejki.

– Czy to czyjeś groby? Kogo tutaj pochowano, tak bez krzyża? – spytał, gdy tylko nieznamy znalazł się tuż obok.

Spojrzał na Madeja z mieszaniną strachu i zdziwienia, rozejrzał się błyskawicznie wokoło, a kiedy zobaczył majaczące w oddali niebieskie mundury milicjantów, warknął przez zacisnięte zęby:

– Odpierdol się, szpiclu... – i cisnął łopatę na ziemię.

Ruszył przed siebie, a po chwili puścił się biegiem pomiędzy grobami, potykając się co chwilę i oglądając za siebie, jakby zobaczył ducha. Na cmentarzu nie byłoby to nawet takie niezwykle, ale Madej do bycia nieboszczykiem jeszcze się nie poczuwał.

Wzruszył więc ramionami i nie rozumiejąc zachowania człowieka z łopata wszedł między nagrobki. Przypatrywał się

uważnie. Szukał wzrokiem tych starszych, bez pomnika, bez kwiatów i zniczy. Dopiero po pół godzinie błędzenia od grobu do grobu, prawie byłby nadepnął na to, czego tak pilnie szukał. Drewniany krzyż pochylał się nisko, kopczyk ziemi obrósł trawą i chwastami. Metalowa, emaliowana na biało tabliczka tkwiła jednak na swoim miejscu, a czarne literki dały się bez trudu odczytać:

*Marta Madej, urodzona 2 czerwca 1922, zmarła 23 maja 1946 roku.*

*Antoś Madej, urodzony 23 maja 1946 roku, żył jeden dzień.*

Zacisnął szczęki i z trudem przełknął ślinę. W ustach poczuł taką suchość, jakby od tygodnia nie napił się kropli wody. Odstawił na bok walizkę, podwinął rękawy koszuli i energicznie wyrwał chwasty, ciskając je z furią na bok. Dzień był gorący, słońce przeświecało przez korony wysokich drzew i wkrótce mokra od potu koszula przylepiła się do grzbietu, a słone strużki zalewały mu twarz. Sam nie wiedział czy to łzy, czy tylko pot. Kiedy skończył, ustawił pionowo krzyż i złożył na grobie pęk chryzantem. Zapalił znicze, jednak na usta zamiast modlitwy cisnęły się słowa przekleństw. Na tych, którzy doprowadzili do śmierci jego żonę i dziecko, na tych, którzy zabrali mu trzy lata życia. Nie dostał nawet zgody, aby wziąć udział w pogrzebie. Komendant więzienia poinformował go oschle, że żona zmarła przy porodzie, a dziecko wraz z nią. Urodziło się za wcześnie.

Zamieszkali z Martą w tym poniemieckim mieście sami, bez żadnej rodziny. Przyjechali z Nowego Targu latem '45 roku. Obydwoje mieli już dość dalszej walki. Sądziли, że na „Dzikim Zachodzie”, jak nazywano Ziemię Odzyskaną, wojnę zostawią za sobą. Dostali pracę w szpitalu i pokój we wspólnym mieszkaniu. Ale nie tak łatwo zerwać z przeszłością. Czasami wlecze się za człowiekiem sama, nieproszona. Madej ujawnił

się w sierpniu '45, kiedy ogłoszono amnestię dla takich jak on, ale to władzy widać nie wystarczyło. Kilka miesięcy później, gdy Marta była już w ciąży, został aresztowany. Nie wiedział, co potem się z nią działo, dlaczego zmarła i ona, i dziecko. Nie wiedział, kto zajął się pochówkiem, co stało się z ich mieszkaniem, z meblami i tą całą resztą skromnego – bo tułaczego – dobytku. Garstkę jego ubrań jakaś litościwa sąsiadka odniosła do więzienia. Teraz Madej musiał zacząć życie od nowa, jeszcze raz. Już nawet nie wiedział, który to już raz?

W Urzędzie Miejskim, w Wydziale Zdrowia, korytarz świecił pustkami, mimo to urzędniczka nakazała mu czekać. Cierpliwie siedział na małym, twardym krzeselku i bezmyślnie spoglądał na propagandowe plakaty rozwieszane na ścianach. Z jednego zerknął uśmiechnięta, rumiana dziewczyna z jasnymi włosami i czerwonym krawatem na szyi, siedząca za kierownicą traktora. Na drugim młody, dobrze zbudowany murarz, kładł kolejną cegłę. Tuż obok wezwanie do czujności, bo wróg z samolotu zrzucił na kraj stonkę ziemniaczaną.

W końcu zza drzwi dobiegł go skrzekliwy głos:

– Następny, proszę!

Kiedy wyjaśnił, z czym przyszedł, urzędniczka bez słowa wstała zza biurka i zniknęła w pokoju tuż obok. Po chwili wróciła i oznajmiła chłodno:

– Towarzysz kierownik was prosi.

Urzędnik siedział za solidnym biurkiem, zawalonym mnóstwem tekturowych, szarych teczek z jednej strony i plikiem papierów z drugiej. Pomiędzy tym wszystkim wisały na stojakach przeróżne pieczętki, leżały piórniki z przyborami do pisania, ogromna bibuła do suszenia dopiero co złożonego podpisu, dwie butelki atramentu i wypełniona po brzegi niedopałkami szklana popielniczka. Spojrzał zza okularów na Madeja stalo-

wymi, przekrwionymi oczami, pod którymi wyraźnie rysowały się obwisłe fałdy skóry. „Albo za dużo pije, albo za mało sypia” – zdiagnozował odruchowo.

– Siadajcie – bąknął pod nosem i wskazał Madejowi krzesło.

Chwilę wertował jakieś papiery leżące przed nim. Podsunął paczkę papierosów, ale widząc, że Madej przecząco pokręcił głową, odłożył ją na bok.

– Mam w waszej sprawie pismo z Urzędu Bezpieczeństwa. Odsiedzieliście cały wyrok? – rzucił mu krótkie spojrzenia znad okularów, a kiedy dostrzegł kiwnięcie głową, kontynuował swój wywód: – No i dobrze. W kraju nie mamy zbyt wielu ludzi z wykształceniem, zwłaszcza lekarzy i do tego chirurgów. Pojdziecie do pracy do Kowar, do szpitala. Brakuje im chirurga... – mówiąc te słowa bezmyślnie przeglądał leżące przed nim papiery. – To bardzo duży i piękny szpital, świetnie wyposażony.

– Nie mogę podjąć pracy tam gdzie zechcę? – spytał zaskoczony. – Pochodzę z Nowego Targu, tam też jest...

Urzędnik przecząco pokręcił głową i przerwał Madejowi w pół słowa.

– Takie mamy przepisy, zwłaszcza dla takich... jak wy – rzucił okiem w stronę drzwi i znowu zapuścił wzrok w dokumenty. – „O zapobieżeniu płynności kadr pracowników w zawodach szczególnie ważnych dla gospodarki...” – zacytował z pamięci fragment ustawy i wpisał dane personalne Madeja w urzędowy druczek nakazujący pracę w kowarskim szpitalu.

– Rozumiem – przytaknął Madej i dodał po chwili: – W sumie... nawet się cieszę.

Kierownik jakby ożywił się, na moment podniósł wzrok i zlustrował siedzącego przed nim petenta, ale nie spytał, jaki był powód tej radości. Być może w ogóle go to nie interesowało lub wiedział, że nie on jest od zadawania pytań. Gdy skończył

pisać, chuchnął na spód pieczętki i z całą swoją urzędową mocą przystawił ją pod podpisem złożonym na nakazie pracy. Nie podnosząc się z biurka krótko burknął:

– To wasze skierowanie do Kowar. Powodzenia – i wręczył Madejowi gęsto zapisaną kartkę papieru.

Urzędniczka odprowadziła Madeja spojrzeniem pełnym niechęci i lekceważenia. Na twarzy miała wypisaną pogardę wobec tego „wrogiego elementu”, jak zapewne sobie o nim pomyślała zgodnie z urzędową terminologią. Nie odpowiedziała na jego „do widzenia” wypowiedziane uprzejmie tuż przy drzwiach. Opuścił budynek urzędu z ulgą. Ciasne, zamknięte pomieszczenia i długie korytarze kojarzyły się boleśnie z miejscem, w którym spędził ostatnie trzy lata.

Pieszko ruszył w stronę dworca. Chyba chciał nadrobić te wszystkie długie dni, tygodnie, miesiące i lata, podczas których albo leżał na betonowej posadzce, albo siedział na nodze od stołka, albo stał w ciasnym „bunkrze”. Miejsce na pryczy dostał dopiero po roku pobytu w więzieniu, a do spacerów zaledwie przed kilkoma miesiącami, gdy zmienił się naczelnik więzienia. Teraz chciał nadrobić brak ruchu i opuścić jak najszybciej to miasto, w którym planowali z Martą spędzić resztę swego życia, a w którym jej przyszło umrzeć, a jemu gnąć w więzieniu. Nie była to jednak wina miasta. Leczyły rany po tej wojnie tak jak inni. Jej ślady widział nadal na każdym kroku. Choć gruz w znacznej mierze usunięto, to nadal straszyły puste place po zburzonych kamienicach. Jednocześnie oko radowało się na widok uwijających się jak w ukropie murarzy remontujących to, co dało się uratować z wojennej pozoگی. Jedynie dworzec sprawiał wrażenie, jakby ta straszna nawałnica go ominęła. Ślady kul karabinów maszynowych na ścianach zalepiono gipsem. Wyglądały po tej operacji jakby

ktoś obrzucił budynek śnieżkami, a one nie zdążyły rozpuścić się pod wpływem ciepła.

Pociąg do Jeleniej Góry miał odjechać po godzinie szesnastej. Madej miał zatem sporo czasu. W dworcowej restauracji, będącej jednocześnie poczekalnią, kupił bułkę z kielbasą i szklankę herbaty. Z trudem, wśród tłumu ludzi, znalazł wolne krzesło przy stoliku. Jedząc, obserwował podróżnych. Dla zabicia czasu wyobrażał sobie skąd przyjechali lub dokąd wyjeżdżają i dlaczego. Nie dziwiła go ich reakcja, gdy nagle milkli lub ściszały głos, gdy żołnierze ochrony kolei, przechadzający się dwójkami, podchodzili zbyt blisko. Wśród mrowia podróżnych, z daleka, rzucały się w oczy niebieskie mundury milicjantów. Ilu siedziało tajniaków na ławkach, przy stolikach lub kręciło się po hallu i peronach, trudno było oszacować. Z pewnością wielu.

Z okien zatłoczonego pociągu obserwował zmieniający się krajobraz. Początkowo płaskie połacie skoszonych pól, w wielu miejscach już zaorane, ustępowały miejsca pagórkom. W oddali, na horyzoncie pojawił się zarys gór. Nie były nawet w połowie tak wysokie jak Tatry, ale Madej poczuł miłe drżenie serca na ich widok. Tęsknił za nimi równie mocno jak za wolnością.

Wynajął pokój w hotelu, w pobliżu dworca. O tak późnej porze nie miał już możliwości dostać się do Kowar. Ostatni pociąg odjechał pół godziny wcześniej, a nocny kurs w ogóle nie istniał. No i nie miał tam załatwionego żadnego noclegu. Został więc na noc w Jeleniej.

Z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, z kostką szarego mydła w dłoni ruszył w poszukiwaniu łazienki. Znalazł ją na drugim końcu korytarza. Z drżeniem serca podszedł do lustra. Nie widział swojej twarzy od trzech lat, nie licząc tego zamglonego odbicia w zniszczonym, poobijanym więziennym lustrze, wi-

szącym w łaźni, nad korytem pełniącym rolę umywalki. Powoli podniósł wzrok. Przed nim stał facet starszy od niego o dziesięć lat. Nie miał jeszcze czterdziestu, a wyglądał na pięćdziesiąt. Czarne włosy, bardzo krótko ostrzyżone, tuż przy skórze, choć nadal gęste, na skroniach srebrzyły się siwizną. Cera, kiedyś śniada, z braku słońca i świeżego powietrza stała się ziemista i szara. Pod oczyma pojawiły się nie tylko ciemne sińce, ale także drobne zmarszczki. Głębokie bruzdy biegingy od skrzydełek nosa, w dół do ust, nadając twarzy zgorzkniały wyraz. Nos – złamany podczas przesłuchania – przywodził na myśl zawodnika boksu po kilku przegranych walkach. Na dolnej wardze widniały dwie blizny po uderzeniu hitlerowskim kastetem, który dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się w posiadaniu „klawiszza”. Jedyne brązowe oczy nadal płonęły żywym blaskiem, lecz nie były to już wesołe iskierki, te sprzed wojny, lecz przygaszony, spopielający płomień nienawiści i żalu. Żebra sterczały spod skóry. Mógł je policzyć gołym okiem, bez macania palcami. Więzienna dieta była bardzo skromna, a często strażnik potrafił złośliwie zawartość talerza rozlać na podłogę. Nie miał prawa do widzeń i paczek. Zresztą i tak nie miał kto do niego przyjść z zawiniątkiem wypełnionym słoniną, cebulą i chlebem.

Odkręcił kran i z lubością wsunął dłonie w strumień ciepłej wody. Zachował całe palce i nie zniszczyły się podczas pracy w więziennym warsztacie. Przesłuchujący wiedzieli, że jest chirurgiem i często korzystali potajemnie z jego pomocy, gdy zbyt mocno, samowolnie, dla osobistej przyjemności, bez wyraźnego rozkazu pobili któregoś więźnia. Dla własnej wygody więc, palców mu nie połamali, a do pracy skierowali do szwalni, a nie do noszenia gruzu.

Kiedy wanna wypełniła się gorącą wodą, zanurzył się po samą szyję, oparł kark o jej twardy, porcelanowy brzeg i za-

mknął oczy. Nie myślał o niczym. Poprzysiągł sobie, że nie będzie wracał do przeszłości. Była zbyt bolesna. Z łazienki wyszedł dopiero wówczas, gdy znudzeni oczekiwaniem na swoją kolej, pozostali goście hotelowi zaczęli się niecierpliwić, czemu dali wyraz głośnym waleniem pięściami w drzwi.



## ROZDZIAŁ DRUGI

*„Zawsze trzeba podejmować ryzyko. Tylko wtedy uda nam się pojąć, jak wielkim cudem jest życie, gdy będziemy gotowi przyjąć niespodzianki, jakie niesie nam los”.*

*Paulo Coelho*

**B**udynek kowarskiego dworca w niczym nie przypominał tego we Wrocławiu. Niski, parterowy, z czerwonej cegły. Niewielki daszek, dwa perony. Bardziej stacja niż dworzec. Ruch spory, ale bez porównania mniejszy niż we Wrocławiu. Młodzi mężczyźni i kobiety. Madej domyślił się, że to tutejsze fabryki ściągały do Kowar pracowników. Jeszcze nie opuścił peronu, gdy drogę zagroził mu patrol – dwóch żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Granatowe otoki na czapkach, karabiny przewieszane przez ramię, czarne, wypolerowane na błysk, wysokie buty. Na twarzach surowe miny. Być może sztuczne dla dodania sobie powagi i zatuszowania niepewności. Obydwaj nie mieli więcej niż po 18 lat.

– Przepustka! – warknął jeden z nich.

– Jaka przepustka? – spytał zaskoczony.

Od wyjścia z więzienia ani we Wrocławiu, ani w Jeleniej Górze, nikt nigdzie nie żądał od niego żadnej przepustki. Chyba coś źle rozumiał.

– Bez przepustki do miasta nie wejdziecie – odparł żołnierz i sięgnął ręką po karabin.

– Mam nakaz pracy w tutejszym szpitalu – wyjaśnił Madej z nadzieją, że to właśnie o ten dokument chodzi i sięgnął do kieszeni marynarki po portfel.

– Pokażcie – żołnierz niecierpliwie wyciągnął rękę.

Wpatrywał się niepewnie w świstek papieru, tak pieczołowicie wypisany przez kierownika urzędu we Wrocławiu, jakby wyczytał czarno na białym, że Madej przyjechał wysadzić miasteczko w powietrze.

– Dowód osobisty! – warknął znowu i jeszcze bardziej się nasrożył.

Długo porównywał wpisy w jednym i drugim dokumencie, zanim podjął decyzję.

– Pójdziecie z nami na posterunek, tam sprawdzą co z was za ptaszek – oznajmił tonem niewróżącym nic dobrego i wcisnął do kieszeni munduru dowód osobisty Madeja i skierowanie do pracy w szpitalu.

Idąc w ich asyście poczuł się jak przestępca, choć wiedział, że mogli go potraktować znacznie gorzej. Gdy aresztowali go w '45, to z domu wywlekli go bez butów i w piżamie, a pierwsze ciosy spadły na jego głowę już na schodach. Miał nadzieję, że tym razem potraktują go inaczej. Na posterunek dotarli po kilku minutach. Po korytarzu to w jedną, to w drugą stronę, szybkimi krokami przemieszczali się żołnierze i jacyś cywile. Głównie kobiety. Może sekretarki. W pokoju, do którego żołnierze zaprowadzili Madeja, za biurkiem siedział oficer. Rozpięty pod szyją mundur i pas przewieszony przez poręcz krzesła wskazywały,

że nie przywiązywał zbyt dużej wagi do wojskowej dyscypliny. Obrzucił Madeja znudzonym spojrzeniem i bez słowa wskazał krzesło przed sobą. Żołnierz pręząc sylwetkę zameldował:

– Obywatelu poruczniku! Melduję, że ten obywatel nie posiada przepustki! – i usłużnie położył jego dokumenty na biurku przed oficerem, zanim Madej zdążył usiąść.

Porucznik podejrzliwie wertował dokumenty, od czasu do czasu łypiąc okiem na Madeja. Po chwili sięgnął po słuchawkę.

– Łączcie ze szpitalem, z doktorem Weredą – wycedził przez zęby i zatrzymał uważne spojrzenie na siedzącym sztywno, jakby kij połknął, Madeju.

Ktoś z drugiej strony linii telefonicznej musiał się zgłosić, gdyż porucznik przełożył słuchawkę do drugiego ucha i spytał:

– Czekacie na nowego lekarza?

Odpowiedź nie wydostała się poza uszy porucznika, ale chyba nie spełniła jego oczekiwań, bo zadał jeszcze jedno, krótkie pytanie:

– Nazwisko?

Porucznik bez słowa odłożył słuchawkę i nadal wlepiając wzrok w siedzącego przed nim lekarza oświadczył krótko:

– Zgadza się.

Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął bloczek z druczkami. Wydarł jeden z nich i starannie, powoli wypełnił. Chuchnął na pieczętkę i przywalił nią solidnie w dokument, tuż pod swoim podpisem.

– Jesteście wolni – zwrócił się do Madeja z kamiennym wyrazem twarzy, podając mu przepustkę, skierowanie do pracy i dowód osobisty.

– Sierzancie – polecił swemu podwładnemu. – Odprowadźcie obywatela do wyjścia – i zapuścił wzrok w papiery leżące na biurku.

Gdy Madej z ulgą opuścił ponury, choć niewielki posterunek kowarskiego KBW zrozumiał, że jego radość z przyjazdu do tego miasteczka okazała się przedwczesna. Kowary skrywały jakąś mroczną tajemnicę, której strzegli oficerowie korpusu bezpieczeństwa i cholera wie, kto jeszcze. Jednak wczorajsza kąpiel i dobrze przespana noc w wygodnym i czystym hotelowym łóżku podreperowały nie tylko jego siły fizyczne, ale także psychiczną odporność. Lekceważącym machnięciem ręki szybko odgonił czarne myśli, jakby były chmarą naprzykrzających się much, pocieszył się, że nie takie rzeczy już w swym życiu przetrzymał i ruszył na poszukiwanie szpitala.

Dziarskim krokiem dotarł do centrum. Miasteczko sprawiało wrażenie jakby wojna ominęła je szerokim łukiem. Stare, XIX-wieczne kamieniczki stały w równych szeregach po obydwu stronach ulic. Duże, przeszklone wystawy sklepów, stragany, przechodnie śpieszący się nie wiadomo dokąd, wozacy z końmi stojący nieopodal placu targowego, kolorowy szyld nad miejscową restauracją. Kolumny zdobiące wejście do urzędu miejskiego lśniły bielą, nigdzie żadnych ruin i wypalonych do cna budynków, żadnych gruzów i dziwnie pustych przestrzeni między kamienicami. Ktoś życzliwie wskazał mu drogę do szpitala usytuowanego na peryferiach. Gdy z daleka ujrzał jego potężną bryłę, otoczoną morzem zielni, zaparło mu dech w piersiach. Takie budynki oglądał dawno temu, przed wojną, na pocztówkach ze Szwajcarii, z Davos. Niezliczone wieże, wieżyczki, lukarny, daszki, drewniane werandy, kolumny i kolumienki uczyniły zeń bardziej pałac jakiegoś księcia z bajki niż miejsce, gdzie przebywali, a często też umierali, ciężko chorzy ludzie. Ogromny zegar pod środkową wieżą wskazywał godzinę dziewiątą rano. Słońce przeglądało się w setkach okien, dodając budowli

królewskiego blasku. Madej z miejsca uległ urokowi tego miejsca, zapomniał o przykrym powitaniu na stacji kolejowej i przymusowej wizycie na posterunku korpusu bezpieczeństwa.

Po kamiennych schodkach, ozdobionych szerokimi arkadami, wbiegł do wejścia, gdzie doznał kolejnego szoku. Przestronny, jasny hall ozdabiała liczne kolumny, krzyżowe sklepienie przyciągało wzrok kolorową polichromią. Na piętro wiodły marmurowe schody, zaopatrzone w balustrady wykute w żelazie przez jakiegoś mistrza w swoim zawodzie. W niczym miejsce to nie przypominało szpitala we Wrocławiu, gdzie pracował przed aresztowaniem. Przed oczyma stanęły mu jak żywe ściany z surowej, czerwonej cegły, posadzki w biało-czarną szachownicę, wysokie okna poprzecinane szprosami jak kratownicą. Przywodziły na myśl klasztor o surowej regule, a nie miejsce dla zwykłych ludzi, którym dobrowolne umartwienie się było dalekie. Portier skierował go wprost do gabinetu dyrektora, doktora Bronisława Weredy. Gdy tylko wszedł, dyrektor uniósł się zza biurka i serdecznie uściśnął Madejowi dłoń.

– Mam skierowanie do pracy w tutajszym szpitalu – oznajmił i podał dokumenty dyrektorowi.

– Tak, tak, wiem... dzwonił... – potwierdził, kiwając jednocześnie głową. – Wczoraj z województwa i przed chwilą, prawda, z posterunku. Niech pan siada, doktorze... – Powiedział niskim, ciepłym głosem i spojrzał na Madeja piwnymi oczyma ocienionymi krzaczastymi, czarnymi brwiami. Wyzierała z nich sama dobroć. – Mam nadzieję, że pana tym chwilowym aresztowaniem nie zniechęcili do pracy u nas?

– Początkowo tak – odparł szczerze. – Ale, gdy zobaczyłem ten budynek, ten park... Przyznaję się bez bicia, że zakochałem się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia...

Wereda na chwilę zatopił spojrzenie w trzymany przed sobą dokumentach, po czym podniósł wzrok na Madeja i spytał z troską w głosie:

– Prawie trzy lata nie stał pan przy stole, prawda?

– Zgadza się – Madej kiwnął głową i przełknął ślinę. Poczucił się jak sztubak, który tłumaczył się z nieodrobionych lekcji.

– A jak dłonie, palce, prawda? – dyrektor spytał bardzo oględnie.

Madej domyślił się dlaczego. Zadanie pytania wprost, czy połamano mu palce w więzieniu mogło skończyć się dla dyrektora tym, że zająłby miejsce Madeja w więziennej celi.

– Poszczyściło się – odparł równie enigmatycznie i położył dłonie na brzegu biurka tak, aby Wereda mógł ocenić ich przydatność do zawodu.

– Przez pierwszy miesiąc będzie pan jedynie asystował, prawda – bardziej oznajmił niż spytał i nadal uśmiechał się życzliwie.

– Z ogromną przyjemnością – wyznał Madej i rozjaśnił twarz szczerym uśmiechem. – Dziękuję. Będę starał się nadrobić stracony czas...

– Pan wie, doktorze, że w szpitalu nie mamy wielu chirurgów, a wypadków co niemiara – wyjaśniał lekko speszony Wereda, jakby to z jego winy bywały te wypadki. – Pracy zatem nie brakuje.

Madej kiwał głową ze zrozumieniem, choć nie miał bladego pojęcia, dlaczego akurat tutaj, w tym uroczym miasteczku, zagubionym wśród gór, otoczonym lasami, miałyby być więcej wypadków niż gdziekolwiek indziej. Przez trzy lata nie docierały do niego żadne informacje ze świata zewnętrznego. Powtarzane przez więźniów rewelacje mogły być w takim samym stopniu prawdą, co ubecką prowokacją. Za pewnik

mógł przyjąć tylko jedno. Nadal szalał terror, o czym świadczyła coraz większa liczba więźniów upychanych w celach jak śledzie w beczce. Panoszyli się ci z UB i KBW, o Rosjanach nie wspominając, co było widać gołym okiem na każdym kroku. Reszta pozostawała wielką niewiadomą, białą plamą, którą miał nadzieję wypełnić kolorami nowego życia.

– Jest pan żonaty? Ma pan dzieci? – spytał, przeglądając papierki w poszukiwaniu odpowiedzi na zadane pytanie, ale widać nie dostrzegł w nich zapisu o stanie rodzinnym Madeja.

– Miałem – odparł krótko i chrząknął, aby odpędzić wzruszenie. – Już nie żyją.

Dyrektor spieszył się. Trzy lata od zakończenia wojny zdążył się odzwyczaić od takich odpowiedzi.

– Przepraszam, bardzo mi przykro – bąkał. – Nic o tym, prawda, nie wiedziałem.

– Nie szkodzi – odparł spokojnie, tylko głos mu lekko zadrżał. Madej jeszcze nie przywykł do podawania informacji o śmierci żony i synka. W więziennej celi nikt takich pytań nie zadawał.

– Czy zechce pan, prawda, zamieszkać na terenie szpitala, czy dać skierowanie na kwaterę w miasteczku? – Wereda zgrabnie zmienił temat i uśmiechnął się życzliwie po raz kolejny.

– Jeżeli można, to zamieszkam w szpitalu, będę miał bliżej do pracy – zdobył się na żart i odwzajemnił uśmiech.

– Rozumiem, że po tych... po tym... że do... – Wereda zająknął się przed zadaniem kolejnego pytania. – Czy jest pan, prawda, członkiem partii? – Wydusił z siebie w końcu i zawiesił na Madeju uważne spojrzenie.

– Nie – odparł krótko, lecz stanowczo. – I nie zamierzam, jeżeli o to chodzi.

Przeraził się, że Wereda zechce go agitować, a tego chyba by nie zniósł. Nie czuł się na tyle zaszczytny, aby obawiać się szcze-

rej odpowiedzi, ani tym bardziej, żeby wstępować do czegoś, co mu nie odpowiadało. Odniósł wrażenie, że w oczach Weredy, kiedy usłyszał odpowiedź odmowną, dostrzegł ulgę i pierwszy promyk autentycznej sympatii.

Dyrektor uśmiechnął się kolejny raz i sięgnął po słuchawkę telefonu. Gdy do jego uszu dotarł przypochlebny głos sekretarki: – „Słucham, panie dyrektorze”, poprosił:

– Pani Krystyno, proszę przysłać do mnie kierownika Malika.

Po chwili do gabinetu wsunął się, chytrze jak wąż, niski i krępy mężczyzna, około pięćdziesiątki. Szpakowate włosy zacesał do góry, odsłaniając dość okazałe wyłysiałe zakola. Małe, chytre oczka obmacały Madeja od czubka ogolonej głowy, po końce mocno sfatygowanych półbutów. Lustracja nie wypadła zbyt pomyślnie, bo jedynie skłonił lekko głowę, a usłużny i wierny wzrok wbił w dyrektora Weredę.

– To jest nasz nowy chirurg, doktor Jędrzej Madej – oznajmił dyrektor oficjalnym tonem. – Proszę go zakwaterować, prawda, w mieszkaniu po Kowaliku i zaprowiantować. We wszystko, prawda. I wystawić stałą przepustkę – polecił dyrektor i unióś się zza biurka, co niechybnie świadczyło o końcu audyencji. – Jeszcze raz serdecznie uściskał dłoń Madeja i z życzliwym uśmiechem na twarzy odprowadził go do samych drzwi.

Po półgodzinie, z kluczem w ręku, Malik zaprowadził go długim, lecz oszołamiającym swoją urodą, korytarzem do służbowego mieszkania, w bocznym skrzydle szpitala, na wysokim parterze, z piękną, drewnianą werandą. Salonik i sypialnia, obok łazienka i maleńka kuchnia. W stosunku do więziennej celi – niewyobrażalny wręcz luksus. Madej, zaopatrzony w liczne pisemka, podpisane i opieczetowane przez kierownika, wędrował od magazynu do magazynu pobierając pościel, ręczniki, mydła, fartuchy lekarskie, obuwie służbowe, a nawet czaj-



nik i herbatę. Wydano mu także, za potwierdzeniem odbioru, kartki na mydło, proszek do prania, cukier, mięso i całą masę innych artykułów spożywczych, o których nie miał pojęcia, że są reglamentowane, a także bloczek na obiady do szpitalnej stołówki. Po raz kolejny rozpoczął nowe życie. Miał nadzieję, że już po raz ostatni.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział pierwszy . . . . .	5
Rozdział drugi . . . . .	16
Rozdział trzeci . . . . .	25
Rozdział czwarty . . . . .	37
Rozdział piąty . . . . .	43
Rozdział szósty . . . . .	53
Rozdział siódmy . . . . .	64
Rozdział ósmy . . . . .	71
Rozdział dziewiąty . . . . .	79
Rozdział dziesiąty . . . . .	94
Rozdział jedenasty . . . . .	105
Rozdział dwunasty . . . . .	114
Rozdział trzynasty . . . . .	125
Rozdział czternasty . . . . .	132
Rozdział piętnasty . . . . .	155
Rozdział szesnasty . . . . .	164
Rozdział szesnasty . . . . .	176
Rozdział siedemnasty . . . . .	188
Rozdział osiemnasty . . . . .	199
Rozdział dziewiętnasty . . . . .	210

Rozdział dwudziesty . . . . .	.216
Rozdział dwudziesty pierwszy. . . . .	226
Rozdział dwudziesty drugi. . . . .	.234
Rozdział dwudziesty trzeci. . . . .	.241
Rozdział dwudziesty czwarty . . . . .	246
Rozdział dwudziesty piąty . . . . .	.261
Rozdział dwudziesty szósty . . . . .	.277
Rozdział dwudziesty siódmy . . . . .	286
Rozdział dwudziesty ósmy. . . . .	.293
Rozdział dwudziesty dziewiąty . . . . .	.307
Rozdział trzydziesty . . . . .	.316
Rozdział trzydziesty drugi . . . . .	.323
Rozdział trzydziesty trzeci . . . . .	.327
Rozdział trzydziesty czwarty . . . . .	.336
Rozdział trzydziesty piąty . . . . .	344